KANADA

REJESTR DOTYCZY:

HARAJEWICZ Henryk

s/c dr med. Władysława i

z d.

* 1896 w Marienbadzie

kraj:

-+ w

kraj:

pochowany:

nr grobu:

Nr rejestracyjny

1

Nota zamieszczona:
w tomie
czesci

Indeks

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

Uwagi:

b. daty śmierci

Nota:

Przypisy:

Źródła i bibliografia:	znak rozpoznawczy
Tydzien Polski 18.9.76 - "Sielanka jeniecka Polaka z Sudetów	47/18.IX.76/

SIELANKA JENIECKA POLAKA Z SUDETÓW

Henryk W. Harajewicz

Urodziłem się w 1896 roku w Marienbadzie, znanym uzdrowisku czeskim położonym wówczas w austriackich Sudetach. O ile się nie mylę — jestem jedynym na świecie sudeckim Polakiem!

Mój ojciec, dr Władysław Harajewicz, pochodził z Krakowa i był lekarzem praktykującym zimą w Wiedniu, zaś latem w Marienbadzie, gdzie m. in. kiedyś był zaproszony na konsultację do przebywającego tam na kuracji króla angielskiego Edwarda VII.

W 1914 roku, mając 18 lat, zostałem powołany do wojska austriackiego z przydziałem do stacjonowanego w Krakowie 13 pułku piechoty tzw. „Krakowskich Dzieci". Zostaliśmy wysłani na front, gdzie 16 czerwca 1916 roku podczas ofensywy Brusiłowa cała moja dywizja została otoczona pod Czerniowcami i wzięta do niewoli.

Najsmutniejsza chwila mojej „wojenki" nastąpiła podczas cofania się naszej dywizji spod Rarańczy do okopów pod Czerniowcami. Z okopów zostaliśmy przeprowadzeni pod eskortą kozacką do najbliższej stacji kolejowej, skąd przewieźli nas w pociągach bydlęcych do Kijowa, gdzie nasz pociąg stanął na bocznicy toru obok pociągu rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Pozwolono nam wysiąść z wagonów i odśpiewaliśmy dwie polskie piosenki wojskowe dla rosyjskich sanitariuszek. Gdy spytałem przełożoną czy mógłbym wysłać telegram do moich rodziców, zaprowadziła mnie ona do ostatniego wagonu i przedstawiła mnie wielkiej księżnej Oldze stojącej wówczas na czele rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Wielka księżna okazała się bardzo sympatyczna, ludzką i chętna do pomocy. Na moją prośbę zgodziła się zadepeszować do przebywającego w Petersburgu generała Jacyny, przyjaciela zarówno jej jak i moich rodziców (oboje generałowie leczyli się u mojego ojca w Marienbadzie). W depeszy tej prosiła generała, aby zawiadomił moich rodziców, że żyję i znajduję się w rosyjskiej niewoli. Wobec tego, że generał nie mógł bezpośrednio przekazać tej informacji do Austrii — skontaktował się z Henrykiem Sienkiewiczem, który zorganizował polski Czerwony Krzyż w Vevey — kilka dni później kpt. Sieńko wezwał mnie do swego biura i z szerokim uśmiechem na twarzy zawiadomił mnie, że burmistrz i jego żona proszą mnie na kolację, na co on się zgodził pod warunkiem, że powrócę do obozu przed 10 wieczorem. I tak nazajutrz w mundurze austriackim przejechałem powozem, który po mnie przysłano przez miasto do rezydencji państwa Płotnickich. Muszę przyznać, że czułem się wówczas dosyć dziwnie!

Przyjęto mnie dosyć chłodno i oficjalnie, lecz gdy począłem opowiadać o moich rodzicach i Marienbadzie, nastrój z miejsca się poprawił. Państwo Płotniccy przywołali swoją przystojną córkę i po zakrapianej kolacji byliśmy już przyjaciółmi. Do obozowych baraków powróciłem na czas — z cywilnym ubraniem i butelką wódki pod pachą. Pokazałem ją kapitanowi i zaproponowałem napicie się. Odmówił jednak mówiąc: „Napij się lepiej ze swoimi chłopakami, bo oni bardziej potrzebują wódki ode mnie". Od tego czasu mogłem swobodnie (oczywiście, ze zgodą kapitana) wychodzić i wracać do obozu, a gdy po pewnym czasie zacząłem przebywać dłużej poza obozem niż w nim — otrzymałem pewnego rodzaju stałą przepustkę pod warunkiem tylko, że nie wolno mi opuszczać miasta.

U panny Płotnickiej uczyłem się rosyjskiego, a jej ojciec zatrudnił mnie w wydziale rachunkowym magistratu. Nie było źle, tym bardziej, gdy pewnego dnia burmistrz poprosił mnie bym napisał do ojca z zapytaniem czy zgodzi się, aby Płotnicki wypłacił mi pieniądze, które pożyczył od ojca na powrotną podróż do Żytomierza przez neutralną Szwecję, gdy w 1914 roku w Marienbadzie zaskoczył go wybuch wojny. Ojciec mój zgodził się na tę propozycję i tak nagle stałem się dobrze sytuowanym jeńcem wojennym.

Pewnego dnia zimą 1916 roku odwiedziłem dobrą znajomą moich rodziców, panią Wandę Grocholską, która powiedziała mi, że biskup Dubowski pragnie mnie poznać osobiście. Pojechaliśmy z nią do pałacu biskupiego, gdzie od wikarego dowiedziałem się, że ksiądz biskup przyjął zaprosze-

nego Krzyża. Pozwolono nam wysiąść z wagonów i odśpiewaliśmy dwie polskie piosenki wojskowe dla rosyjskich sanitariuszek. Gdy spytałem przełożoną czy mógłbym wysłać telegram do moich rodziców, zaprowadziła mnie ona do ostatniego wagonu i przedstawiła mnie wielkiej księżnej Oldze stojącej wówczas na czele rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Wielka księżna okazała się bardzo sympatyczna, ludzką i chętna do pomocy. Na moją prośbę zgodziła się zadepeszować do przebywającego w Petersburgu generała Jacyny, przyjaciela zarówno jej jak i moich rodziców (oboje generałowie leczyli się u mojego ojca w Marienbadzie). W depeszy tej prosiła generała, aby zawiadomił moich rodziców, że żyję i znajduję się w rosyjskiej niewoli. Wobec tego, że generał nie mógł bezpośrednio przekazać tej informacji do Austrii — skontaktował się z Henrykiem Sienkiewiczem, który zorganizował polski Czerwony Krzyż w Vevey w Szwajcarii. I w ten sposób w dwa dni później rodzice w Marienbadzie otrzymali podpisaną przez Sienkiewicza depeszę donoszącą, że „Henryk żywy i zdrów w niewoli rosyjskiej".

Z Kijowa przewieziono nas do Żytomierza na Ukrainie, do obozu jenieckiego administrowanego przez „Ziemskij Sojuz". Znalazło się w nim 2.000 jeńców, głównie młodych chłepców z pułku „Krakowskich Dzieci", którzy wybrali mnie swoim przedstawicielem do rozmów z Rosjanami. Żytomierz był zamieszkały w 20 proc. przez Polaków, wśród których wielu było pacjentami mojego ojca. Gdy się dowiedziano, że do jenieckiego obozu koło ich miasta przybywają brudni i zawszeni Polacy z Krakowa, kobiety natychmiast zorganizowały dla nich pomoc w postaci zbiórki bielizny, po którą natychmiast stanęliśmy w ogonku. Byłem w nim ostatni i bez oglądania z podziękowaniem przyjąłem to co mi wręczono. Wieczorem, po gorącym prysznicu i wzajemnym wybijaniu na sobie wszy, wreszcie legliśmy na słomą wypchanych siennikach do pierwszego od wielu dni spoczynku. Fakt, że otrzymana bielizna, którą widziałem już po ciemku, była za mała i jakaś dziwna nie popsuł mi snu. I dopiero rano stwierdziłem, że jestem ubrany w damskie dessous i to z paryską etykietką. Nie dziwota, że stałem się obiektem powszechnego zainteresowania.

Obóz jeniecki położony był w cegielni znajdującej się nad samym brzegiem rzeki Teterew. Był czysty i obszerny. Dowodził nim rosyjski kapitan Sieńko, z którym od samego początku przypadliśmy sobie do gustu. Między innymi powiedział mi, że kopię imiennej listy jeńców złożył na ręce burmistrza Żytomierza, pana Płotnickiego. Już następnego dnia, gdy pracowałem przy wyrobie cementowych rur, Sieńko przerwał mi pracę mówiąc, że Płotnicki telefonował pytając czy ten Harajewicz figurujący na liście jeńców nie jest przypadkiem synem doktora z Marienbadu — co oczywiście potwierdziłem. W warunkiem tylko, że nie wolno mi opuszczać miasta.

U panny Płotnickiej uczyłem się rosyjskiego, a jej ojciec zatrudnił mnie w wydziale rachunkowym magistratu. Nie było źle, tym bardziej, gdy pewnego dnia burmistrz poprosił mnie bym napisał do ojca z zapytaniem czy zgodzi się, aby Płotnicki wypłacił mi pieniądze, które pożyczył od ojca na powrotną podróż do Żytomierza przez neutralną Szwecję, gdy w 1914 roku w Marienbadzie zaskoczył go wybuch wojny. Ojciec mój zgodził się na tę propozycję i tak nagle stałem się dobrze sytuowanym jeńcem wojennym.

Pewnego dnia zimą 1916 roku odwiedziłem dobrą znajomą moich rodziców, panią Wandę Grocholską, która powiedziała mi, że biskup Dubowski pragnie mnie poznać osobiście. Pojechaliśmy z nią do pałacu biskupiego, gdzie od wikarego dowiedziałem się, że ksiądz biskup przyjął zaproszenie na zjazd biskupów polskich, który ma się odbyć w lutym 1917 roku w Krakowie i że na skutek wstawiennictwa pani Grocholskiej zgodził się wziąć mnie ze sobą, bym mógł spotkać się ze swoją rodziną. Byłem zdumiony i zaskoczony. Zaprowadzony przed oblicze księdza biskupa ucałowałem jego pierścień, po czym poprosił on mnie bym usiadł obok niego i poczęliśmy omawiać formalności dotyczące wyjazdu. Biskup Dubowski, mając bardzo dobre stosunki zarówno z rządem rosyjskim, jak i armią, miał obiecane odpowiednie papiery na podróż do granicy, a raczej do frontu austriackiego, dla siebie, swojego wikarego i służącego — czyli dla mnie. O podobne dokumenty na podróż przez terytoria austriackie miało mu się wystarać biskupstwo krakowskie.

W połowie stycznia 1917 roku wszystkie te dokumenty ksiądz biskup otrzymał i z początkiem lutego wyruszyliśmy powozem z Żytomierza do Berdyczowa, skąd dalej pociągiem do linii frontu, znajdującego się wówczas pod Tarnopolem. Podczas tej podróży żandarmeria rosyjska trzykrotnie sprawdzała nasze papiery. Na granicy w Tarnopolu przenieśli nas do pociągu austriackiego, który zawiózł nas wprost do Krakowa. Z Grand Hotelu, gdzie mieliśmy zarezerwowane pokoje, zatelefonowałem do rodziców i wkrótce ściskałem i całowałem matkę i dwie siostry, które po mnie przyjechały. W dwa dni później przyjmowaliśmy w domu rodziców księdza biskupa i wikarego, po czym trzeba było przygotować się do powrotnej drogi: biskup i jego wikary do swojego pałacu w Żytomierzu, a ja — do obozu jeńców.

W obozie tym przeżyłem — będąc świadkiem rewolucji w 1917 roku — aż do końca wojny, kiedy to ponownie połączyłem się z moją rodziną w Krakowie, już w wolnej Polsce. W polskim wojsku — znowu w pułku „Krakowskich Dzieciach" — brałem udział w odrzucaniu rosyjskich armii komunistycznych z wyzwolonych ziem polskich.